

665 Odpowiedź na pozew

Dobrze się stało, że pozew przeciwko mnie Morawski skierował nie do sądu, lecz na łamy „Nadodrza”. Dobrze, bo znacznie powiększyło się grono obseruatorów procesu, a autor nie wziął pod uwagę jednego: że może przegrać. Wszak stare przysłowie głosi: „Nosił wilk razy kilkak...”

Jeśli z rzeczonego pozwu („Nadodrza” nr 7) odsączyć zółć, okaże się, iż Morawski wściekł się na mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, że kalam świętości, a po drugie, że robię to na łamach tygodnika, który stał się ośrodkiem opiniodawczym silniejszym niż stolik nr 1 w Klubie MPiK, gdzie swoje tezy głosi Mistrz.

Co do świętości. Morawski uznaje „Kartotekę” za świętość najwyższej klasy (jeśli i świętości mogą mieć klasy). Zapewne ma absolutną rację, ale już na poziomie szkoły średniej ucza, że 20 lat to nieco za mało na określenie historycznego znaczenia utworu. Po dłuższym czasie bożyszczą (nie tylko literackie) upadły, a na ich miejsce wchodziły kopciuszkii. Może za następna 50 lat „Kartoteka” będzie nie kwestionowaną świetnością, ale i wówczas każde pokolenie odeżyta ją na nowo, po swojemu.

Jeszcze o jednej fundamentalnej zasadzie odbioru dramatu zapomniał Morawski, co mnie niepomierne dziwi u człowieka tak podobno obeznanego z teatrem. On — literat — miał przed oczyma książeczkę z tekstem. Ja widziałam tekst jako jeden z elementów dzieła scenicznego, przez który teatr mówi do nas, współczesnych, o współczesności. Siła teatru tkwi właśnie w komentowaniu współczesności przez odpowiednio dobrany tekst literacki, niezależnie od tego, kiedy powstał. Istnieje na ten temat bogata literatura. Wystarczy do niej sięgnąć, by nie popełnić podstawowych błędów.

No, a co nam teatr powiedział przez „Kartotekę”? Za w kartotece spraw Bo-

hatera nasze sprawy, ludzi z 1983 r., są drugorzędne lub nie istnieją wcale.

Morawski jest literatem, więc wolno mu słuchać tylko samego siebie. Mnie, jako dziennikarza, interesują przede wszystkim odczucia i nastroje społeczne. Ci ludzie, którzy nigdy nie zabierają głosu na łamach prasy, są po prostu zupełnie inni niż Bohater. Ale wolno literatowi zasłaniać sobie oczy i uszy, żeby nowe do niego nie docierało.

A tu nowe pcha się. Bez zezwolenia. I nie uzgadnia stanowiska z Mistrzem ani z kręgiem jego przytłakiwaczy. Śmie nawet nie uznawać wielkości Mistrza, który sam się wyinkubował na pierwszego znawcę a także proroka. Jest tak ważny, że mu nawet imię niepotrzebne, bo prawdziwy Morawski może być tylko jeden!

W tym pejzażu istnienie i rozrastanie się „Ziemi Gorzowskiej” przy akceptacji coraz większej liczby czytelników, jest prawdziwym niezczuciem. Strasznie trudno ustępować naczelnym miejscem innym. Strasznie trudno tolerować poglądy ludzi z innego pokolenia. Mistrzu! Przy okazji podpowiadam znakomity temat literacki! Jeśli Pan go nie podejmie, przyrzekam napisać książkę za 20 lat, gdy mi się jakiś pętać znacznie szarogęsić.

Sądzę, że z Morawskim nie porozumiemy się nigdy. Nie tylko w odbiorze teatru. Mnie interesuje szukanie porządku i wartości, jego — wieczne krytykowanie i patrzanie w siebie, a stąd już tylko krok od samozadowolenia i wiary w niepodważalność własnych sądów. Jeśli „Nadodrza” taką postawą u swojego felietonisty akceptuje; prosty dla mnie wniosek, że redakcja nie jest zainteresowana odczuciami czytelników.

Nie było sprawy w sądzie, nie wniosę więc o wyrok, o karę dla Morawskiego. Przypuszczam, że niedługo utonie w zółci, dotąd — dla zdrowia — upuszcza jej w felietonach.

KRYSTYNA KAMIŃSKA